

Przywrócić pasję wygrywania [FELIETON]

W Stanach Zjednoczonych pasja wygrywania przejawia się nie tylko u potencjalnego zawodnika. Na złoty medal pracują całe rodziny: rodzice, bracia i siostry, kuzyni, wujkowie i ciocie, jak również przyjaciele. Życiorysy olimpijskich zwycięzców wypełnione są narracją o tych wszystkich, którzy dopomogli zwycięzcy – pisze Ewa Thompson w kolejnym felietonie z cyklu „Widziane z Houston”.

Patrząc na niedawno zakończone igrzyska olimpijskie w Tokio, nie sposób nie zadać sobie pytania, dlaczego Polacy nie odnieśli na nich żadnych wielkich sukcesów w najpopularniejszych dyscyplinach (*pace* panie i panowie medaliści, *chapeau bas* przed wami, ale kilka jaskółek nie czyni wiosny). Odnoszę wrażenie, że Polska, ze swoimi 38 milionami obywateli, rzadko próbuje ubiegać się o najlepszość. A przecież tzw. *soft power* zdobywa się przez sukcesy w wygrywaniu. Nie tylko w sporcie.

Porozbiorowym, po-drugowojennym, postsowieckim Polakom brak jest pasji wygrywania. Zamiast tego wielu zaopatrzyło się w to, co nazwałabym potulną zgodą na nieskuteczność („chcieliśmy dobrze, ale wyszło jak zwykle”). Amerykańska pływaczka Nancy Hogshead-Makar, która zdobyła trzy złote medale na olimpiadzie w Los Angeles w 1984 roku, tak opisuje stan umysłu osoby ześrodkowanej na wygraniu (czyli jej własny): „Czułam, że moja dusza skurczyła się i stała się ostra jak igła. Byłam świadoma swego oddechu, ale niczego więcej. Nie miałam już ramion ani głowy... stałam się cienkim plasterkiem. Nie wiem, jak to opisać: to były momenty niewyraźne”.

Mam wrażenie, że gdzieś w najgłębszych zakamarkach podświadomości Polacy często czują, że nie wygrają, i z tą postawą idą przez życie. A tego rodzaju stan umysłu jest zabójczy nawet wtedy, gdy wygrana jest, rozsądnie rzecz biorąc, niemożliwa. Z drugiej strony, społeczeństwo polskie wydatkuje bardzo niewiele energii na doping do najlepszości w jakiegokolwiek dziedzinie. Jeżeli olimpijskiemu zawodnikowi uda się zdobyć jakiś medal, uwielbieniu nie ma końca; ale ten doping, który pozwala doskonalić się przez miesiące i lata, jest nieobecny.

Gdzieś w najgłębszych zakamarkach podświadomości Polacy często czują, że nie wygrają, i z tą postawą idą przez życie. A tego rodzaju stan umysłu jest zabójczy nawet wtedy, gdy wygrana jest, rozsądnie rzecz biorąc, niemożliwa

W Stanach Zjednoczonych pasja wygrywania przejawia się nie tylko u potencjalnego zawodnika. Na złoty medal pracują całe rodziny: rodzice, bracia i siostry, kuzyni, wujkowie i ciocie, jak również przyjaciele. Życiorysy olimpijskich

zwycięzców wypełnione są narracją o tych wszystkich, którzy dopomogli zwycięzcy. Opowiadają o tym, jak ojciec woził syna każdego ranka na odległy basen pływacki lub boisko sportowe; jak rodzeństwo dopingowało do ćwiczeń; jak cała rodzina składała się na opłaty w obozie treningowym. Czasem w mediach jest więcej wywiadów z członkami rodziny wygrywającego, niż z samym wygrywającym. Gdy Sunisa Lee otrzymała złoty medal w indywidualnej gimnastyce, amerykańskie stacje telewizyjne przeprowadziły serię wywiadów z jej ojcem, zażywnym panem w średnim wieku, który zajmująco opowiadał o jej dzieciństwie. Oboje rodzice pływaka

Caeleba Dressela (pięć złotych medali!) oglądali zawody w telewizji u siebie w domu i ich komentarze i entuzjazm były pokazywane w mediach. Bobby Finke, zwycięzca w wyścigu pływackim na 1500 metrów, powiedział w wywiadzie, że rodzice i siostry pomagali mu na wszelkie sposoby i że wygrana należy również do nich. Ale najciekawszą historię rodzinną reprezentuje Keni Harrison, czarnoskóra zdobywczyni srebrnego medalu w biegu przez płotki. Pochodzi z rodziny mieszanej, czarno-białej, jedenaścioro dzieci, w tym czwórka czarnoskórych (adoptowanych). Zdjęcia całej rodziny, które pokazywały wszystkie chyba stacje telewizyjne, wyglądają trochę jak piknik średniej wielkości firmy. Nietrudno zgadnąć, że w rodzinie o takiej liczebności się nie przelewa, więc zamiast eleganckiego busika na kilkanaście osób, rodzice Keni kupili stary autobus i używali go jako rodzinnego samochodu. Wywiad z nimi był wzruszający. Rodzeństwo co do jednego kibicowało Keni. Sama Keni opowiadała o tym, jak w dzieciństwie rodzice wozili ją do szkoły „prywatnym” autobusem, w wyniku czego jej rówieśnicy myśleli, że dowożona jest z jakiegoś domu dziecka.

Ten doping rodziny i otoczenia to nie tylko konkretna pomoc w wożeniu na stadion czy ułatwianiu treningu. Wyraża się on również w rozwijaniu tej pewności siebie, bez której nie ma mowy o wygrywaniu. Wystarczy spojrzeć na taśmy olimpijskie: zwycięzcy tryskają pewnością siebie jeszcze przed zawodami. Lwią część tej pewności uzyskali w gronie rodzinnym, w którym dominowały wzajemna wdzięczność, pomoc i pochwały.

Z melancholią myślę o tym, że polskie rodziny są małe, że wychowują jedynaków, że tak wiele jest par bezdzietnych i bez perspektyw na potomstwo. Powstania, wojny, przemieszczenie się ludności po wojnie sprawiły, że rodziny się rozpadły i dzietność prababć w niczym nie przypomina sytuacji dzisiaj. W dodatku kolonizatorzy wiedzieli dobrze, co robią, gdy budowali kłitki zamiast mieszkań, kłitki, w których nie było miejsca na pokój dla

jednego dziecka, a co dopiero dla kilkorga. Ta atomizacja społeczeństwa ma wiele rezultatów; jednym z nich jest częsta samotność Polek i Polaków ubiegających się o olimpijski medal lub o inną oznakę najlepszości w świecie.

Ku uwadze tych, którzy zamierzają osiągnąć najlepszość w przyszłych igrzyskach olimpijskich i gdzie indziej.

Ewa Thompson
Rice University

Przeczytaj inne felietony Ewy Thompson z cyklu „Widziane z Houston”